FUNDACJA GENERAŁ ELŻBIETY ZAWACKIEJ
Archiwum i Muzeum Pomorskie Armii Krajowej
oraz Wojskowej Służby Polek
87-100 Toruń, ul. Podmurna 93, tel. 0048 56 65 22 186
e-mail: fapak@wp.pl; www.zawacka.pl
NIP 956 16 25 127; REGON 870502736
KRS 00000 41602
Nr r-ku 82 1090 1506 0000 0000 5002 0244

87-100 Toruń, ul. Podmurna 93, tel. 0048 56 65 22 186
e-mail: fapak@wp.pl; www.zawacka.pl

MEMORIAŁ
Generał Marii Wittek

FUNDACJA GENERAŁ ELŻBIETY ZAWACKIEJ
OKRĘG POMORZE
1939 AK 1945

AK II-ua
Oberlangen
PUSK
II Korpus
Włochy - Anglia

KWAŚNIK - BADMAJEW Jadwiga
z d. Kosuń ps. „Jagoda"
I v. Kwaśnik
II v. Badmajew

411/WSK

SPIS ZAWARTOŚCI TECZKI — 4111/WSK
Kraśnik-Badmajew Jadwiga
z d. Kosuń ps. „Jagoda"

I. Materiały dokumentacyjne

I/1 – relacja właściwa —

I/2 – dokumenty (sensu stricto) dot. osoby relatora —

I/3 – inne materiały dokumentacyjne dot. osoby relatora —

II. Materiały uzupełniające relację ✓ k. 17; s. 32

III. Inne materiały (zebrane przez „relatora"): —

III/1 – dot. rodziny relatora —

III/2 – dot. ogólnie okresu sprzed 1939 r. —

III/3 – dot. ogólnie okresu okupacji (1939 –1945) —

III/4 – dot. ogólnie okresu po 1945 r. —

III/5 – inne... —

IV. Korespondencja —

.....

.....

.....

.....

V. Wypisy ze źródeł [tzw.: „nazwiskowe karty informacyjne"] ✓1

VI. Fotografie ✓ 206. II/1; I/28; II/30

FUNDACJA GENERAŁ ELŻBIETY ZAWACKIEJ OKRĘG POMORZE 1939 1945 AK

II. Materiały uzupełniające relację:

- „Wspomnienia z niewoli po Powstaniu Warszawskim" - autorka Jadwiga Kraśnik Badmajew, Jamesport, New York 1993. Wyd. zwarte. Strony 1-28 plus dodatki. Msp. oryg. Rkp. Kserokopie. Fotografie! K. 16, s. 1-31.
- Streszczenie w/w „Wspomnień" Msp/Rkp. oryg. K. 1, s. 32.

FUNDACJA GENERAŁ ELŻBIETY ZAWACKIEJ
OKRĘG POMORZE
1939 1945
AK

II/1

WSPOMNIENIA Z NIEWOLI
PO POWSTANIU WARSZAWSKIM

JADWIGA KWAŚNIK BADMAJEW

Jamesport, New York
1993

II/2

Moim dzieciom:

Basi, Markowi i Ani

FUNDACJA GENERAŁ ELŻBIETY ZAWACKIEJ
OKRĘG POMORZE
1939 1945
AK

II/3

WRZESIEŃ 1939 - OKUPACJA POLSKI

Życie mojej rodziny nie różniło się wiele od tysiąca innych rodzin w tym czasie w moim Kraju. Polska cieszyła się ciągle wzrastającym standartem życiowym. Minęło tylko 20 lat od dopiero co odzyskanej niepodległości. Doganialiśmy w szybkim tempie kraje zachodnie i co najważniejsze zaczęliśmy odczuwać nasze znaczenie w świecie.

Mieszkaliśmy w Warszawie. Ja patrzyłam na przyszłość przez różowe okulary. Rodzice namawiali mnie na studia stomatologiczne, choć naprawdę odczuwałam w sobie mocno talenty artystyczne.....Nigdy nie przeczuwałam jak zupełnie inaczej potoczą sie moje losy.

1-go Września 1939 roku, bez wypowiedzenia wojny, Niemcy brutalnie napadli na Polskę. Nasza młoda armia walczyła heroicznie przez 27 dni z uzbrojoną po zęby armią niemiecką. Europa zastygła w niemym przerażeniu. Znikąd nie było pomocy, pomimo wielu umów i traktatów.

Do Warszawy wkroczyli 28-go Września. Ten moment zostanie w pamięci na całe moje życie. Znienawidzone mundury i wyjątkowo głośny, butny odgłos ich butów wzbudzały dreszcz i gniew rozpaczy.

W tym samym czasie dostaliśmy nowy cios. Tym razem od wschodu. 28-go Września w Moskwie Ribbentrop i Mołotow podpisali potajemny niemiecko-sowiecki układ graniczny sprzymierzeńczy, w którym obie strony "po upadku byłego Państwa Polskiego" dzielą jego terytorium i uznają "granice obustonnych interesów państwowych za ostateczną".

Wojska Radzieckie przekroczyły nasze wschodnie granice .

Okupacja niemiecka była długa i okrutna. Ich celem było zniszczyc inteligencję, młodzież i opornych - a resztę podporządkować sobie i użyć do swych szalonych celów - podbicia świata. A my wszyscy byliśmy naocznymi świadkami zbójeckiej roboty oszalałych sadystów i katów.

Moje życie zmieniło się zupełnie. Różowe okulary zamieniły się na szare. Gimnazium humanistyczne musiałam zamienić na handlowe, piękny język francuski - na znienawidzony niemiecki. W całym kraju zapanowała głęboka żałoba, a w mojej rodzinie szczególnie. Świeżo przed wojną kupiony patefon stał w szafie i tylko gdy wszystkie drzwi do ojca pokoju były zamknięte, mogł być cichutko w użyciu. Chodzenie do kina, na młodzieżowe spotkania czy zabawy nie wchodziło nawet w rachubę. Miałam tylko 14 lat. Piękne nowe radio trzeba było oddać (takie było zarządzenie). Wyłamaliśmy się jednak z pod rozkazu i zakopaliśmy go w ogrodzie. Jedyne odgłosy śpiewu dochodziły z ulic Warszawy od maszerujacych Niemców.

Z każdym dniem wzrastały represje i okrucieństwa Niemców.

Zaczęła się natychmiast tworzyć Armia Podziemna. W miarę lat wzrastała do imponujących rozmiarów. Niestety więzienia też zapełniły się naszymi bohaterami, dla których pogarda śmierci za Polskę była największym honorem.

W rodzinie mojej musiała zapaść poważna decyzja - Zniknięcie z Warszawy ze względu na przedwojenne powiązania mojego ojca. Wyjechaliśmy na południe do okolic Chrubieszowa, gdzie mieszkała moja dalsza rodzina, której jeszcze nie znałam. Przyjęli nas serdecznie i z wielkim zrozumieniem, ale sami mieszkali w małym domu i na dłużej życie

z nimi stawało się uciążliwe. O znalezieniu jakiejkolwiek pracy w tej okolicy nie było nawet mowy. Rodzice moi zdecydowali wziąść w dzierżawę olbrzymi sad, który należał do zubożałej arystokratycznej rodziny w okolicach Posadowa. Nadchodziła wiosna. Rodzice wystarali się o olbrzymi wojskowy namiot i zdecydowaliśmy przetrwać okres letni w sadzie. Tu wszyscy wykazaliśmy swoje talenty. Razem z mamą udekorowałyśmy namiot przywiezionymi z warszawskiego mieszkania dywanami i drobiazgami . Ojciec, długoletni legionista, wybudował przy pomocy swojej rodziny polową kuchnię przed namiotem. Gotowanie na niej nie było łatwe, ale pochwaliłyśmy ojca i nikt nie narzekał. Prosty stół i ławy zkompletowały nasze umeblowanie, a łazienkę i wodę do gotowania mieliśmy z pobliskiego strumyka.

Wkrótce owoce zaczęły dojrzewać i nasza egzystencja znacznie się poprawiła. Ludzie z okolicy przynosili nam świeże mleko, jajka, masło a nawet mięso z dopiero ubitego cielaka albo drób w zamian za owoce.

Zaprosiliśmy nawet do nas moją cioteczną siostrę Irenę, jako życie w Warszawie stało się prawdziwym koszmarem dla młodych. Wszystkim groziły "Łapanki". Niemcy jeździli ulicami w "budach" i wyłapywali młodzież do pracy w fabrykach amunicji w Niemczech.

Nasze cygańskie życie w sadzie przyciągnęło wiele młodzieży z okolicy. Nawet syn naszych właścicieli sadu zaczął nas odwiedzać razem ze swymi kolegami i gitarą. Wieczory wypełnione były cichym śpiewem przy palącym się ogniu, albo słuchaliśmy jak urzeczeni opowieści mojego ojca z przebytych lat w Legionach. Nie było elektryczności, nie mniej czas schodził nam przyjemnie.

Tak przetrwaliśmy aż do późnej jesieni, gdy już mieszkanie w sadzie stało się niemożliwe. Postanowiłam też wrócić do szkoły. Teraz ja z kolei zamieszkałam w mieszkaniu mojej cioci w Warszawie. Tylko niestety, nie wszystko tu było "bajkowo". W mieszkaniu tym na ulicy Koszykowej 21, szrapnel wybił w ścianie olbrzymi wyłom. W tym czasie nawet nie śniła się nikomu możliwość kupna dykty, czy desek. Zasłoniłyśmy więc wyłom kocami, materiałami, czym tylko się dało, aby śnieg nie padał nam do pokoju i aby ktoś nie wypadł na ulicę (to było 4-te pietro). Tam dniami i nocami uczyłam się, aby dogonić nowy program i stracony czas i nie stracić roku szkolnego.

26, GRUDZIEŃ, 1944 WSTĄPIŁAM W SZEREGI ARMII KRAJOWEJ

W 5-ym roku okupacji okrucieństwo Niemców przechodzi wszelkie granice. Gestapowcy szaleli bezkarnie. Znęcali sie nad Polakami w więzieniach, aresztowali za najmniejsze przewinienia a najczęściej bez powodu zupełnie. Na ulicach kazali nam oglądać masowe egzekucje. Ginęli ludzie młodzi, niewinni. Życie codzienne paraliżował strach przed "łapankami" i coraz okrutniejszymi zarządzeniami. Ich sadystyczne cechy miały tu pełne pole do popisu. Cały świat nie reagował. Świat był w strachu i szoku.

Zdecydowałam wstąpić w szeregi A.K. Wiek mój nie przedstawiał już obiekcji. Byłam skierowana i polecona przez koleżankę od wczesnych lat szkolnych do pewnego oddziału. Spotkanie było w prywatnym mieszkaniu. Jeszcze kilkoro nowych ochotników razem ze mną. Ceremonia zaprzysiężenia była prosta, ale naładowana emocją. Uczucie jakiejś wielkiej wagi dominowało nad naszymi myślami. Uczucie

niemal oddawania swojego życia dla Polski. Wiadomo było, że po złożeniu przysięgi jestem zobowiązana słuchać wszelkich rozkazów, a najważniejsze, że gdy złapana przez Niemców, mogę być narażona na okrutne przesłuchiwania, a nawet może zesłana do obozów koncetracyjnych, o których coraz więcej się słyszało. Wiedziałam o tym wszystkim. Więzienia pełne były bohaterów. Publiczne egzekucje prawie już codziennie. Patrzyłam na to przez te parę minionych lat. Na rozwieszonych na budynkach listach, skazanych na zgładzenie, wypatrywaliśmy z drżeniem nazwisk bliskich i znajomych.

W następnym jednak momencie wytworzył się nowy, niespodziewany problem. Przyjechałam na ten umówiony adres nie przygotowana na to, że padnie pytanie - Pseudonim ?
Z wielkiego wrażenia myśli jakby zastygły na moment. Szukałam w głowie tak ważnej odpowiedzi. - "Jagoda" - to poprostu imię najbardziej zbliżone do mojego. "Jagódka" - to imię, które czasem mama szeptała pieszczotliwie.... Tak więc zostało.

Należenie do A.K. zobowiązywało mnie do zachowania absolutnej tajemnicy, nawet przed własnymi rodzicami. Może bym nawet im o tym powiedziała, ale byłam pewna, że na moje zaangażowanie nie zgodzą się. Oboje byli wielkimi patriotami, wiedzieli o należeniu do Armii mojego brata. Choć był taki młody - dali mu pełne błogosławieństwo, pomagali w czym tylko mogli. Ze mną było inaczej. Ja byłam młodą kobietą, a w ich oczach - jeszcze dziewczynką.

1, SIERPIEŃ, 1944
POWSTANIE WARSZAWSKIE

Nadszedł dzień do którego przygotowaliśmy się i na który czekaliśmy. Nasi przywódcy wybrali moment, kiedy Niemcy wycofywali się w popłochu po przegranej ofenzywie na Rosję. Mieliśmy rozkaz przekroczenia mostów przed ich planowanym zburzeniem i czekać w pogotowiu w Śródmieściu. Podałam jako punkt wyjścia adres mojej rodziny na ul. Koszykowej 21, róg Natolińskiej. Ponieważ w tym czasie mieszkałam z rodzicami na Pradze, dla mnie nadszedł okropny moment opuszczenia domu. A wobec tajemnicy wojskowej musiałam to zrobić bez pożegnania. Jedyną wtajemniczoną osobą była nasza pomoc domowa - Jasia. Pomogła mi w przygotowaniu odpowiedniego ubrania, trochę zapasu jedzenia, wystarczającego na parę dni (taki był rozkaz). Rozwścieczeni Niemcy ciągle byli obecni na naszych ulicach i zapasy te i ubiór musiały być nie wzbudzające żadnego podejrzenia. Miałam je w szkolnej teczce. Takich jak ja były setki w tym dniu na ulicach Warszawy.... Tak wyszłam z domu.

Samo Powstanie to oddzielna książka - oddzielny temat. O tym co w tym czasie czułam i czym się kierowałam oddaje świetnie wiersz napisany przez żołnierza 6 komp. batalionu im. Kilińskiego, Stanisława Marczak-Oborskiego pod tytułem :

"Do Powstańca"
Pamiętaj - nie wolno ci zwątpić
w wolność,
Co przyjdzie, choćbyś padł.
Pamiętaj, że na ciebie patrzy
ogromny, zdumiony świat.
I wiedz, że krokiem w
nędznym bucie
jak pomnik dziś w historię
wrastasz.
I wiedz, że w sercu twoim bije
uparte serce tego miasta.
Choćby zawiodła wszelka
pomoc,
choć przyjdą dni głodu i moru,
Ostatniej stawki nie przegramy
- stawki naszego honoru.

O tym co przeżyliśmy w czasie tych 63 dni piekła na ziemi świadczą tylko statystyki. 150 tyś. zabiych, tysiące rannych. 50% miasta zamieniło się w gruzy. Do niewoli poszło 15 tysięcy, w tym dwa tysiące kobiet. W szpitalach zostało około 5 tysięcy rannych.

WSPOMNIENIA Z OKRESU NIEWOLI PO POWSTANIU WARSZAWSKIM

Jest to bezpośredni zapis moich wrażeń w niewoli niemieckiej. Z powodu braku papieru do pisania w warunkach obozowych, styl tego pamiętnika jest oszczędny, bardziej nastawiony na zanotowanie faktów.

ŚRODA 4-10-1944 KAPITULACJA

Armia Krajowa oddała się do niewoli. Ludność cywilna wychodziła z miasta już od dwóch dni. Wojsko wymaszerowało dziś - począwszy od 12-ej godziny. Na ostatniej barykadzie, gdzie przejmowali nas Niemcy, ktoś zaintonował "Rotę". Ludzie płakali. W gardle zatykało z wysiłku dławienia łez rozpaczy, zawodu i uczucia jakiejś wielkiej niesprawiedliwości. Oni zabrali nam nasz kraj, naszą Warszawę. Bohaterskie wysiłki odzyskania jej spełzły na niczym, bo byliśmy w tej walce oszukani i osamotnieni. Jedynie w tej gorzkiej chwili przyswiecało nam głębokie przeświadczenie, że spełniliśmy obowiązek wobec Polski, oddajemy się w ręce tym bandytom ze spokojnym żołnierskim sumieniem.

Ja przez łzy uśmiechałam się, bo w drugiej czwórce przed sobą widziałam swego brata, którego dwa dni temu odnalazłam. Walczył na Starówce, Czerniakowie i Mokotowie, z którego w ostatniej chwili wyszedł kanałami. Przeszłam do jego batalionu, aby być już razem. Na jak długo...? - nie wiedzieliśmy. Irena została z cywilami, bo Tadzik, jej narzeczony, był ciężko ranny.

Padał deszcz, byliśmy kompletnie przemoczeni. Chłopcy podgwizdywali do marszu. Mniej więcej co 5 Km robili nam kilkuminutowy odpoczynek. Po drodze ludność cywilna obrzucała nas chlebem, drobiazgami potrzebnymi w niewoli, jak kto mógł dawał wyraz wielkiej sympatii i zrozumienia dla nas. Mleko w butelkach przechodziło od czwórki do czwórki - choć jeden łyk...! Przez dwa miesiące mleka nie widzieliśmy. Udało mi się złapać bochenek chleba.....Uratowałam bohatersko dla siebie i dla Jurka. Pyszny, biały, chrupiący...!

Doszliśmy do Ożarowa, około 20 km od Warszawy. Przeliczyli nas skrupulatnie, co trwało bardzo długo. Śmiertelnie znużeni, przemoknięci czekaliśmy na olbrzymim placu, naturalnie odrutowanym. CO DALEJ...? Niespokojne myśli krążyły ustawicznie po głowie. Deszcz padał w dalszym ciągu. Był to teren fabryczny fabryki kabli. Oddzielili najpierw rannych i kobiety i umieścili nas w jednej z fabrycznych hal. Na podłodze słoma. Całe szczęście że jesteśmy wreszcie pod dachem (szklanym). Obok hali dla kobiet umieścili oficerów, tak że mieliśmy jedno wejście. Stalag był obok z innym wejściem.

6-10-1944 OŻARÓW

Drugi dzień w Ożarowie. Krukowski ze swoją grupą urzadzał nam wspaniałe koncerty. Próbowali w ten sposób rozładować mocno napięte nerwy. Były chyba ze 3 harmonie, klarnet, kilka skrzypiec.

Dziś przyszedł cały mój Oddział, z którym pracowałam w powstaniu jako łączniczka. - "Komenda Placu W-wa Śródmieście Poł. - Referat techniczny". Kpt. "WITEK" -

II/7

Zimienitem baraku
z baraku Sala 5

„Jagoda"
Barak 3
Sala 6

DZIEWCZĘ

Do

Kochana Jadziu!

Piszę dzisiaj z tego że w baraku nie mogę
dlatego wyjść do ciebie o 10-ej dlatego napisz
wyjeżdżamy do Częstochowy. Tego dnia zapisała
do mało letnich. Jadzia a może ci się jeszcze
da co zrobić to byli byśmy razem mow.
Jadziu jak będziesz pisała to albo do Krakowa
albo do Zegrza. Adres Wiedlce Mamma jest taki
Berlin Lankwitz. Dessauerstr 1.
Pozdrowienia całuje cię twój kochający brat Jurek.

List od brata przerzucony przez druty razem z zawiniętym w środku kamykiem

A	B	C	D	E	F	G	H

Kriegsgefangenen

Name: Kosiń Jadwiga

Vorname:

Geburtsort u. -tag:

M.Stammlager 344

107019

Lager 318

Mój numer jeniecki

II/8

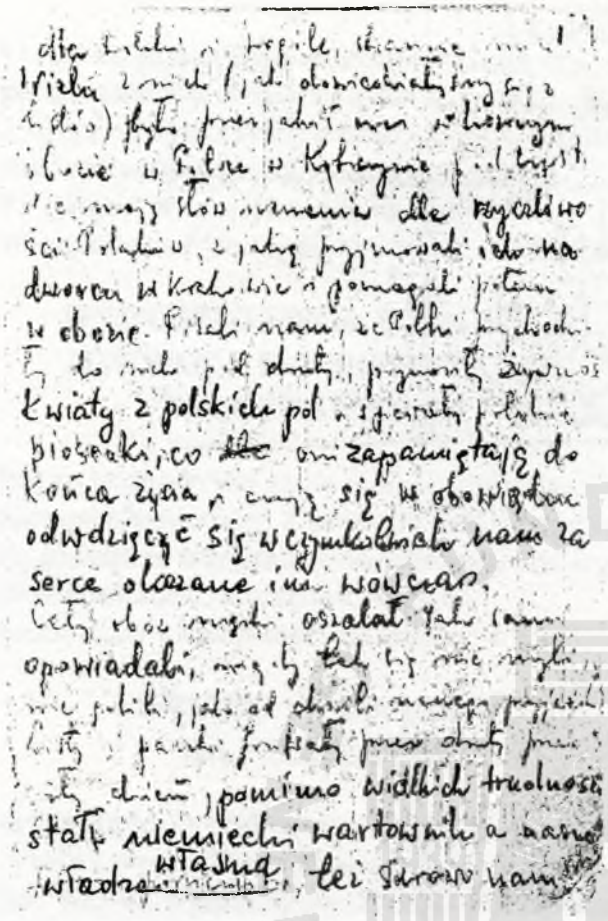

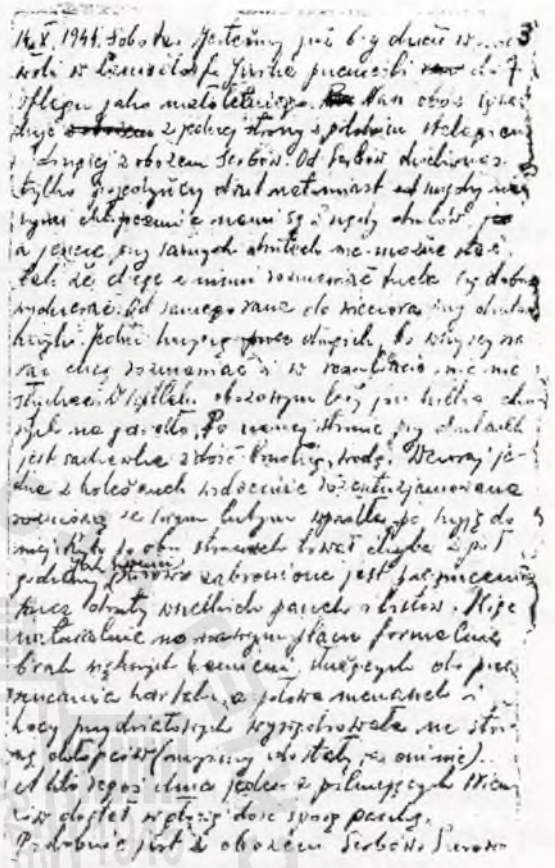

Na takich karteczkach pisałam pamiętnik

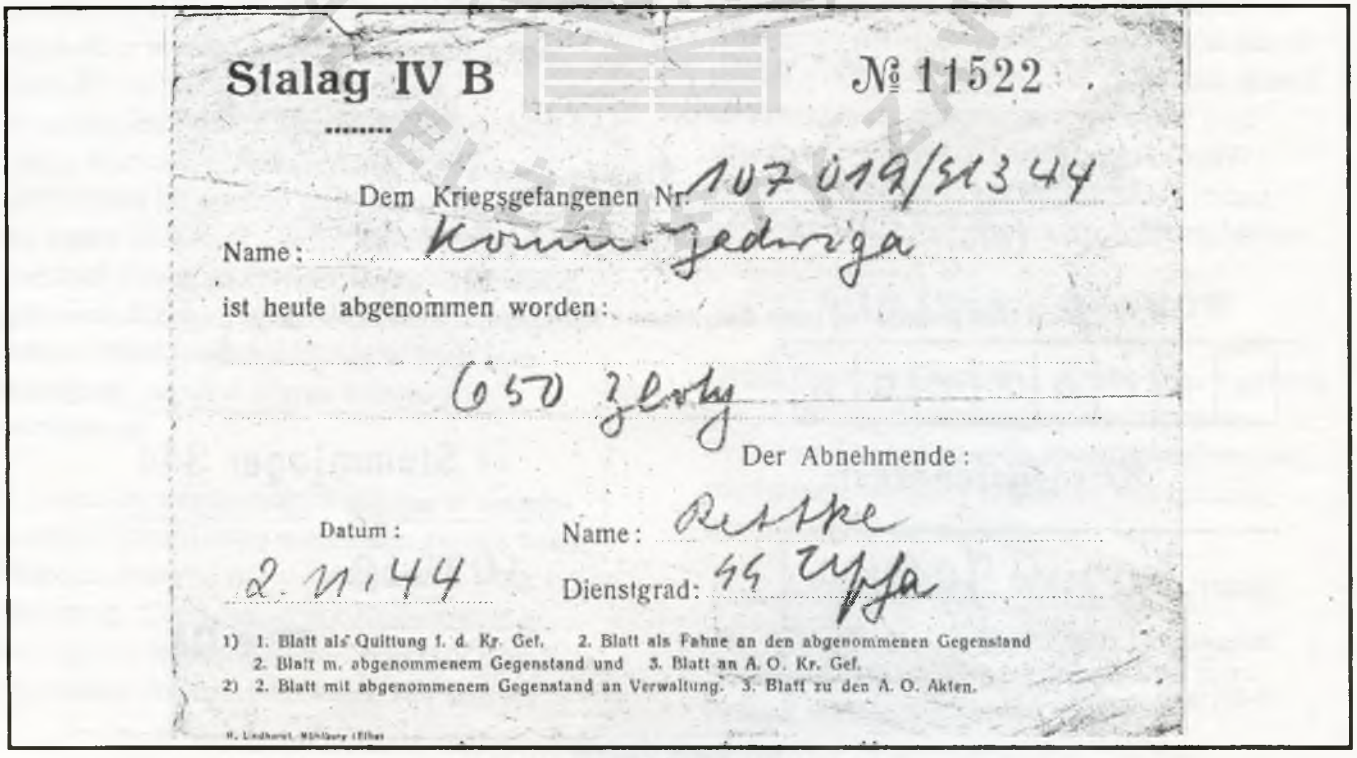

Tych pieniędzy już nigdy nie oglądałam

majorem, inni też awansowali. Myliłam się w tytułowaniu. Dostałam też przyrzeczenie awansu i medalu....Kiedy?... Przenosiłam meldunki pod silnym obstrzałem. Na ul. Hożej byłam ranna. Duże odłamki były usunięte w czasie powstania, mniejsze na plecach, twarzy i nogach mam do tej pory. Po serdecznym przywitaniu i okrzykach poczęstowali mnie smakołykami przyniesionymi z Warszawy. Czekolada, ser, suszona kiełbasa.

Po przebudzeniu stwierdziłam, że spało w naszej sali bardzo dużo chłopców. Koło mnie spało trzech. Tłumaczyli że przyszli do swoich "żon". Spotkałam dużo znajomych. Dziś przez cały dzień przychodziły coraz to nowe oddziały z Warszawy. Tłok coraz większy. Z Jurkiem musieliśmy się ciągle szukać. Ustaliliśmy wreszcie miejsce naszych spotkań. Przynosił mi za każdym razem coś do jedzenia. Zupa była wyśmienita, podobno ugotowana dla nas przez miejscową ludność. Było w niej dużo jarzyn, ziemniaków i nawet mięsa.

Na drugi dzień po południu załadowali nas w wagony kolejowe- towarowe- do przewożenia bydła. 47 kobiet w jednym wagonie. Jechaliśmy dwie noce i jeden dzień. Nie dostaliśmy nic do jedzenia i picia. Miałyśmy trochę własnego prowiantu, czym podzieliłyśmy się wszystkie, ale to było bardzo mało. Zawiesiłyśmy koc w rogu wagonu, aby móc swobodniej załatwiać się. Wycięłyśmy nożem mały otwór pomiędzy deskami podłogi i starałyśmy się usuwać wszystko natychmiast. Któraś miała puszkę, którą używałyśmy do oddawania moczu. Robiłyśmy wszystko co tylko możliwe, aby w tych bydlęcych wagonach zachować godność człowieka. W nocy było niemożliwe znaleźć ciepłe miejsce, aby móc zasnąć. Zimne powietrze wiało przez ściany wagonu i podłogi.

Nad ranem dojechaliśmy do miejscowości Lamsdorf. Chwyciłyśmy nasz cały dobytek z Warszawy w chlebakach i paczkach , potwornie zmęczone makabryczną jazdą, przemarznięte, szłyśmy do obozu około 3 km. Dręczyła nas obawa - Co dalej nas czeka?... Gdzie są chłopcy?... Mnie chodziło o Jurka, innym o mężów....synów. Było nas przeszło 1000. Zostałyśmy podzielone batalionami w trzech barakach. Mój - 21 Pułk - Batalion "Bełty".

Na trzeci dzień była rewizja. Pieniądze do depozytu...? Wszelkie kosztowniejsze i nowe rzeczy zabrali nam. Zaczynamy mieć wszy. W głowie, na ciele, w ubraniu.

SOBOTA 14-10-1944

Minął 6-ty dzien w niewoli. Dowiedziałam się, że Jurka przenieśli do Oflagu jako małoletniego. Nasz obóz sąsiadował z jednej strony z polskim stalagiem, z drugiej z obozem Serbów. Od Serbów dzielił nas tylko pojedyńczy drut, natomiast między naszymi chłopcami i nami są 3 rzędy drutów, a jeszcze do tego zabronili nam do nich się zbliżać. Tak że chcąc z nimi rozmawiać, trzeba dobrze krzyczeć. To też od rana do wieczora przy drutach są krzyki. Jedni przez drugich, bo wszyscy chcą sobie coś przekazać (rodzinne sprawy, adresy, wiadomości kto powstanie przeżył a kto zginął). Po naszej stronie przy drutach była sadzawka z dość brudną wodą. Wczoraj jedna z koleżanek do niej wpadła. Śmiech po obu stronach. Niby surowo było zakazane przerzucanie przez druty paczek i listów. Więc naturalnie na naszym placu formalnie brak większych kamyków, służących do przerzucania kartek, a połowę menażek i koców przydziałowych, składanych na jaknajmniejszą paczkę wywędrowało na stronę chłopców. My dostałyśmy, a oni nie.

II/10

1-11-1944 MÜHLBERG OBÓZ MIĘDZYNARODOWY

Święto. Dzień Zaduszny. To był pierwszy dzień na nowym miejscu. Podróż z Lamsdorfu do tego nowego obozu była jak zwykle makabryczna. Porobiłyśmy pomiędzy deskami małe szparki, aby móc wyglądać dokąd jedziemy. W momencie gdy jadłam chleb z solą otworzyli drzwi i kazali wysiadać. Szybko złapałyśmy każda swój dobytek. Nie zdążyłam zasznurować butów.

Podeszłam dziś do drutów. Był to męski obóz jeniecki. Stali po tamtej stronie. Było ich bardzo dużo, setki. Wszyscy w prawie jednakowych mundurach - angielskich. Trudno było rozróżnić który Polak. Krzyknął do mnie jeden z nich po polsku czy nie zechciałabym zamienić parę slów z jego kolegą, Holendrem. Na moją zgodę Holender zaczął czytać z kartki mocno przekręcając wyrazy. Miał już naszykowane parę zdań, które chciał mi powiedzieć. Cieszył się jak dziecko, gdy mu odpowiadałam. Powiedziałam mu, że może napisać do mnie list po angielsku. I od tej pory zaczęła się moja korespondencja z nim i z Polakiem. Jak również od tej pory żadna prawie z nas nie miała chwili wolnej na swoje sprawy. Jak nie przy drutach - to przy pisaniu i tłumaczeniu listów. Holendrzy szczególnie wbijali nas wprost w dumę swoim podziwem dla nas. Listy od nich były tak miłe, pełne uznania dla nas, naszej odwagi i wogóle dla Polski. Jak dowiedziałyśmy się z listów, byli przez jakiś czas w karnym obozie w Kobiczynie pod Czestochową. Nie mają dość słów uznania dla życzliwości Polaków z jaką przyjmowali ich na dworcu w Krakowie i pomagali im potym w obozie. Pisali nam, że Polki przychodziły do nich pod druty, przynosiły żywność i kwiaty z polskich pól i śpiewały polskie piosenki. Co oni zapamietają do końca życia i teraz czują się w obowiązku odwdzięczyć czymkolwiek nam za serce okazane im wówczas. Cały obóz męski oszalał, tak jak sami opowiadali. Nigdy tak się nie myli i nie golili jak od chwili naszego przybycia. Listy i paczki fruwają przez druty pomimo wielkich trudności. Stoi niemiecki wartownik, a i nasze władze surowo nam tego zabroniły.

Z Polakiem - Podch. Bolesławem Łukaszewiczem, nauczycielem z Polesia, nawiazałam serdeczną korespondencję. Holender natomiast zakochał się podobno po uszy. Przychodził do drutów kilka razy dziennie. Wywoływały mnie wówczas z baraku i musiałam czasem marznąć. Bo na taką odległość, to nie było wielkiej rozmowy. On do mnie coś wykrzykiwał, trzeba było coś odpowiedzieć albo przynajmniej pomachać ręką. Ale rozumiałam ich. Ci ludzie nie mieli kontaktu z normalnym światem od 5-u lat. Miałam już pod dostatkiem papierosów. Z każdym prawie listem coś dostawałam - czekoladę, papierosy, mydło.

Nie piszę już dat, bo zupełnie zatraciłam czas. Miałyśmy w obozie wielką emocję.... "Widzenie".... W baraku huczało jak w ulu. Stroiłyśmy się na ostatni guzik. Mamy zobaczyć się bez drutów z naszymi krewnymi - tylko Polakami. Ja naturalnie też mam "brata" - mojego Bolka. Wyprowadzili nas poza teren obozu do baraku stojącego na uboczu. Czekali już tam na nas nasi "bracia, "ojcowie", "wujkowie". Niemcy zdaje się zbytnio nie sprawdzali. Cały kłopot polegał na tym, że wogóle ich nie znałyśmy, tyle co przez druty, a więc z dość dalekiej odległości. No i przez obozową korespondencję. Mój "brat" okazał się dość sprytny, podszedł do mnie z nienacka i zupełnie bezceremonialnie pocałował. Czuliśmy się początkowo trochę onieśmieleni, ale potym tyle znalazło się tematów, że przeskakiwaliśmy z jednego na drugi. To był bardzo miły i inteligentny młody człowiek. Godzina naszych rozmów zleciała jak 10 min.

Cały czas trzymał moją rękę i ściskał aż chwilami do bólu. Ach!.... Nie widzieli swoich z kraju od 5-u lat. Nie widzieli zupełnie kobiet. I nie dziwiło mnie gdy powiedzieli, że woleliby nas nie widzieć - tu za drutami, Że niewola dla nich stała się gorsza.

W całym obozie męskim zapanowała gorączka. Normalny spokój obozowy znikł i chęć wolności stała się jeszcze większa. Bardzo mi ich żal. Toteż w listy moje wkładam dużo, aby były dla nich miłe. Nie podoba im się bardzo, że palimy papierosy, nosimy spodnie. Cóż mogę zrobić...? Mój cały ubiór składa się właśnie z męskiego garnituru - dużo za dużego - butów męskich No 38, pożyczonych, bo taki strój dano mi po ostatnim opatrunku w czasie powstania. Czasem na randki przy drutach pożyczałam od Oleńki spódniczkę. Pytał mnie raz ile kosztuje - to on mi ją kupi, żebym tylko ją zawsze nosiła. Dobrze - a co włoży Oleńka?

Holender w dalszym ciągu zasypuje mnie listami. Z listów tych jest jeszcze jedna korzyść dla mnie. Piszą je na kartkach, wyrwanych z niemieckich książek. Na niektórych jest trochę czystego papieru pomiędzy rozdziałami. Używam to do pisania mojego pamiętnika. Anglicy wystają pod drutami całymi godzinami, starając się o koleżanki, z którymi chcą korespondować i opiekować się. A wszyscy przysyłają nam masę paczek - zbiorowe i indywidualne. Polacy są w gorszych warunkach, bo nie otrzymują dużo paczek. Od ich pomocy bronimy się i wymawiamy jak możemy. Dostałam jednak od mego Bolka paczkę, w której była ciepła koszula i wełniane kąpielówki. Bardzo jestem mu za to wdzięczna, zwłaszcza że wiem, że podzielił się ostatnim co ma.

Najgorsze są dla mnie wieczory, kiedy mam czas rozmyslać o swoich troskach. Gdy pomyślę o moich rodzicach, o których nic nie wiem - Czy żyją...? Gdzie są...? Łzy same cisną mi się do oczu. Wysłałam już wszędzie, gdzie tylko możliwe, listy aby ich odszukać. Czy ich wogóle znajdę...? Gdzie ja wrócę...? Bo przecież wrócę...! Powtarzam sobie z uporem. Rozpacz moja jest tym większa, że nawet nie pożegnałam się z nimi.

Nasz rozkład dnia: Pobudkę mamy o 6:30. Apel o 7-ej, na który musimy wszystkie wychodzić na plac, gdzie Niemcy nas liczą. To nieraz trwa przeszło godzinę, albo dłużej, gdy nie mogą się doliczyć. I jest to najbardziej nieprzyjemna część dnia. Och - jak czasem zimno...! Nie mamy dostatecznych ubiorów, prosto też z zimnych prycz. Po obliczeniu śpiewamy modlitwę, potym..."Czołem Pani Komendantko"... i biegiem, na wyścigi do baraku. Nie czeka nas tu nic przyjemnego. Ścielemy barłogi, myjemy się w lodowatej wodzie albo w śniegu i czekamy cierpliwie na obiad, który jest o 11-ej. W międzyczasie przeważnie mam randkę pod drutami. Mam już przyszykowany list, napisany wczoraj wieczorem, zawinięty sznurkiem razem z solidnym kamykiem, których już dosłownie brak na naszym terenie. OBIAD jest najmilszym słowem w obozie. Jesteśmy tak wygłodzone, zawsze chodzimy głodne. Na ten obiad, który ma tylko szumną nazwę, dostajemy 5 małych ziemniaków w łupinkach i może 1/2 litra okropnej, chudej, obrzydliwej, prawie nie jadalnej zupy. Jest to zupa z brukwi, nieoskrobanej marchwi, czasem pływa tam trochę kaszy, nie ma w niej ani mięsa, ani żadnego tłuszczu. A przedewszystkiem jest jej mało. Po zjedzeniu więc obiadu, czekamy głodne na chleb, który jest rozdawany o 2-ej. Chleba jest podobno 30 dkg plus odrobinę margaryny. Naturalnie zjadamy natychmiast wszystko i w dalszym ciągu jesteśmy głodne - do jutra - do obiadu. Ze swoich minimalnych porcji dzielimy się odrobiną wszystkiego i dokarmiamy oczekujące matki. Jest ich w obozie 7.

Panie, ktore przed powstaniem cierpiały na choroby związane z otyłością, albo tłustą, niestrawną dietą, teraz pozbyły się tych dolegliwości. Mają jedynie, tak jak wszystkie, uczucie głodu i oznaki niedożywienia. Śmieją się, że pobyt w najelegantszym "senatorium" bardzo im pomaga. Zeszczuplały i już nie wiedzą co to - zgaga...?

W międzyczasie mamy różne kulturalne pogadanki, cerowanie, szycie, no i listy za druty. Są też różne czynności obowiązkowe jak: rewizje, rejestracje, numeracje, sprawdzanie, liczenie, zapisywanie danych. Przy tak dużej nas ilości zajmuje to masę czasu.

Wieczory czasem bywają bardzo wesołe. Jest dużo wsród nas naprawdę dowcipnych i utalentowanych dziewcząt, a nawet kilka aktorek z prawdziwego zdarzenia. Grossówna np. dostała "zaszczytną" funkcję sprawdzania nam głów.... czy mamy wszy. Obawa była zawsze, że gdy było ich za dużo, mogli ogolić głowy. Moje włosy były krótkie i za jedną porję chleba kupiłam gęsty grzebień, którym czesałam głowę codziennie i wypędzałam moje "sublokatorki". Za drugą porcję kupiłam szczoteczkę do zębów, tylko niestety pasty do zębów nie było.

Raz w tygodniu Niemcy wozili nas gdzieś w pobliżu obozu do łaźni. Tam rozbierałyśmy się do naga, a ubranie szło do dezynfekcji. Stałyśmy w olbrzymiej łaźni, w której było 100 prysznicow i czekałyśmy aż ktoś z nich odkręci i ureguluje wodę. Dostawałyśmy obrzydliwe, szare mydło, którym myłyśmy też włosy. Rosyjscy więźniowie obsługiwali te łaźnie i kręcili się wsród nas bez przerwy. Ręczników nie było. Następnie trzeba było długo (czasem godzinę) czekać, aż wróci ubranie z "odwszalni". Było sztywne i z potwornym zapachem. W łaźni rozmawiałyśmy o tym co nas najbardziej martwi...."Wiesz, że ja już od paru miesiecy nie mam menstruacji"....."Ja też"...." I ja też"....Zaczęłyśmy dociekać - większość dziewcząt nie miała. Najgorsze myśli zaczęły krążyć po głowie. Naiwnie myslałyśmy, że Niemcy coś nam dają. Parę razy dostawałyśmy jakieś zastrzyki....?

Codziennie rano dyżurne przynosiły z kuchni dwa olbrzymie kotły z ciepłą wodą z jakimiś ziołami (może mięta, może jeszcze inne), bez cukru. Nabierałyśmy trochę tego w menażki, trochę do picia, ale również używałyśmy do podmywania się - bo ciepłe.

Od kilku dni zaczęły już przychodzić pierwsze listy z domów. Codzień kilka dziewcząt chodzi nieprzytomnych z radości. To te, które otrzymały już pomyślne wiadomości o swoich najbliższych.

ALTENBURG

Jest to mój 4-ty obóz. A więc po zwiedzeniu Saksonii przyszła kolej na Turyngię. Prawdopodobnie zwiedzimy jeszcze i Bawarię. Niestety to "zwiedzanie" polega tylko na wyglądaniu z pociągu przez zakratowane okienko, albo zrobioną nożem małą szparkę w ścianie wagonu. A w obozie- to tylko kawałek horyzontu poza drutami, przeważnie puste pola.

Tym razem...o dziwo! Jesteśmy w prawdziwym mieście. Zupełnie miłym i ładnym. Na wzgórzu mieści sie obóz. Jest to olbrzymi budynek po jakimś teatrze. W nim są nasi oficerowie...My mamy baraki. Wcale im nie zazdrościmy, raczej one nam, bo warunki, choć w barakach mamy lepsze. One miały wybór. Teraz widzą swój błąd i żałują. Warunki są tu dużo lepsze niż w Mühlbergu. Każda ma swoje łóżko. Na salach jest najwięcej 50, a przeważnie 25. Mamy poza tym dwie świetlice, jedna dla oficerów, jedna dla nas.

Pianino (straszliwie roztrojone), trochę więcej jedzenia, ale w dalszym ciągu mało. Apele są już w barakach, a nie na zewnątrz. Co szczególnie dla mnie jest wielkim dobrodziejstwem. Cała moja garderoba składa się z męskiego garnituru i żeby było śmieszniej, mam jeszcze srebrnego lisa, którego zakładam na szyję, gdy jest mi bardzo zimno. A z tym lisem było tak: Przed wyjściem do niewoli, kolega prawie przemocą włożył mi go do torby - " Weź go, nie jest ciężki, nawet na chleb go sobie wymienisz" Niech mu Bóg da za to zdrowie! Mimo lisa obawiam się chronicznego kataru. Ucho mam zawiane już od paru tygodni, ledwie słyszę.

Nudno tu jednak. Nie mamy kolegów z za drutów. A szkoda - z nimi czułyśmy się bezpieczniej. Byłyśmy przekonane, albo chciałyśmy być, że mamy w nich obrońców i żadna krzywda nie może nam się stać. Nie mamy też papierosów. I jeść i palić chce się bardzo.

NIEDZIELA 2-1-1945 OBERLANGEN

Oberlangen - Ems. Nowy obóz. Miejscowość dość malownicza. Niestety o bardzo złym klimacie. Wilgotny, zmienny, okropny. W Styczniu jak nie odwilż z niustającym wiatrem, to śnieg z deszczem. Po cudownej pogodzie w Altenburgu, trudno nam się do tego przyzwyczaić. Chodzimy po obozie w holenderskich drewnianych sabotach. Nie wygodnie, ale sucho. Zastałyśmy w obozie około 1000 koleżanek z A.K. Jest to obóz karny. Jedne są tu za to, że nie chciały przejść do cywila. My za to, że odmówiłyśmy pracy w fabrykach amunicji. Warunki są tu potworne. W baraku jest nas 200. Prycze są 3-piętrowe. Trochę słomy, ale bez sienników. Na każdej pryczy jest parę bardzo wązkich desek zupełnie nie pasujących, tak że co chwilę któraś z dziewcząt się zawala. Dostałyśmy po jednym kocu - a zimno potwornie. Śpimy razem z Olą "Gałązką". Mamy wówczas jeden koc pod słomę, a drugim się przykrywamy i jest nam trochę cieplej. Na cały barak jest tylko jeden żelazny piecyk, wiecznie obstawiony przez skostniałe koleżanki. Jedzenie również dużo gorsze niż gdziekolwiek przedtym. Zupa jest tak rzadka, prawie sama woda.

Koleżanki miejscowe bardzo miło nas przywitały. Posprzątały i umyły nam barak. Kupiły trochę słomy - Niemcy wogóle mieli nam nie dać. Przez pierwsze 3 dni nie dostawałyśmy żadnej żywnosci, więc one zrzekły się swoich małych porcji. Podzieliły się z nami paczkami Czerwonego Krzyża, jakie dostały w dniu naszego przyjazdu. Trzeba wiedzieć co znaczy w obozie otrzymanie paczki Czerwonego Krzyża aby ocenić ten wspaniały gest. Jesteśmy tym do głębi wzruszone.

Z kraju mamy smutne wieści. Warszawa i Kielce już podobno zajęte przez Bolszewików. Wszystkich z Generalnej Gubernii ewakuują. Wiele nawiązało już kontakt z rodzinami, a teraz znów przerwane. W obozie, jak zwykle, krążą najprzeróżniejsze plotki w związku z frontem zachodnim. A więc że już jest od nas o 60 km - rzeczywiscie słychać wyraźnie artyleryjski ogień zaporowy. Albo, że Niemcy uciekając spuszczą tamy i zatopią nas. Albo, że nas z tąd ewakuują w wypadku zbliżenia się frontu. Tego boimy się najbardziej. Wówczas nawet nasi mogą łatwo zbombardować nasz transport. Podobno 200 dziewcząt, które do nas jechały, w pobliżu Lathen były zbombardowane.

W obozie wszystko same musimy robić. A więc prace w kuchni, obieranie ziemniaków i brukwi do tej potwornej zupy, przywożenie torfu z lasu, odsnieżanie torów kolejowych. Najgorsza praca to wywożenie z latryny.

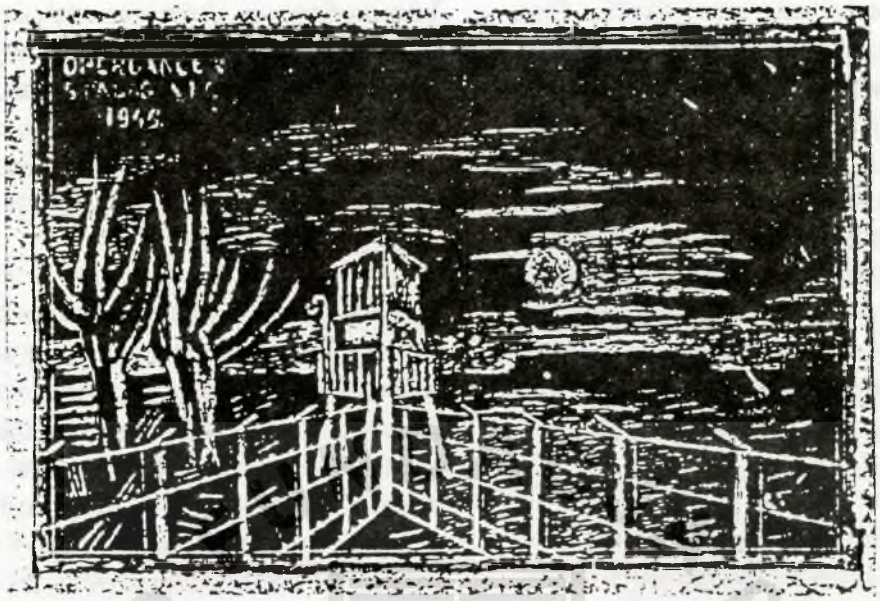

Mój rysunek na upalonej blaszce

Zdjęcie tej samej budki po latach

Mialam bardzo smutne doświadczenie związane z tą pracą. Od dawna już miałam na rękach egzemę. Suchą, otwartą skórę zanieczyściłam teraz przy czyszczeniu latryny. Wdało się zakarzenie ze stanem zapalnym na jednym palcu. Ciemna, szeroka żyła była widoczna na prawie całej już ręce. Zemdlałam na apelu. Koleżanka z sąsiedniego baraku znalazła w swojej torbie sanitarnej kilka tabletek "Sulfa" na zatrzymanie zakażenia. Pozatym wywalczyły, że obozowy doktór mnie zobaczył. Oczyscił zainfekowany palec, dał mi maść i lekarstwo. Muszę przyznać, że dzięki niemu i jego maści nie tylko zakarzenie ale i moja egzema znikła zupełnie.

Najlepszą komenderowką był "daleki torf". Przywoziłyśmy do obozu torf do palenia w piecach. Na tej komenderówce można było coś wymienić z miejscowymi ludźmi. Czasem ukryty złoty pierścionek - za bochenek chleba. Niemcy byli nie uczciwi. Przywozili na wymianę okropne wypieki, jakże często zupełnie nie jadalne, brali za to cenne rzeczy.

Od czasu do czasu miałyśmy wizyty Czerwonego Krzyża. To była raczej komedia. Tego dnia obóz był zupełnie inny. Lepsza zupa, trochę więcej margaryny do chleba. I my też dawałyśmy pokaz mdlenia na apelu. Były takie ekspertki, które mogły to robić na zawołanie. Nie wiele to jednak pomogło.

W wolnym czasie starałam się wypróbować moje artystyczne zdolności wykorzystując co tylko się da w warunkach obozowych. Naprzykład wycięłam z puszki kawałek blaszki, upaliłam ją nad ogniem na złoty kolor, a następnie igłą wyskrobałam rysunek. Był to naturalnie jedyny widok, na który patrzyłam od rana do wieczora. Szereg drutów kolczastych w perspektywie zbiegający się przy budce żandarma z karabinami maszynowymi. Za drutami zachodzące słońce i dwa drzewa (które były już tylko w mojej wyobraźni). Po wielu próbach widoczek ten wyglądał wspaniale. W następnych nawet wycięłam na rogach małe uchwyty, aby mógł być przyczepiony do małego notesu jako okładka. Dostawałam za to kawałek chleba, albo 2 papierosy. Przy pomocy Oli robiłyśmy niezły interes.

24-1-1945

Plotka o 200 naszych dziewczętach jakoby zbombardowanych, okazała się nie prawdziwa.

Piękny sen dziś miałam. Śniło mi się, że zwolniono mnie z obozu na jeden dzień pod warunkiem, że jak ucieknę, 5 koleżanek będzie rozstrzelonych. Znalazłam się w Zegrzu na dworcu kolejowym. Spotkałam tam dużo znajomych i wszystkich prosiłam, aby zawiadomili moich rodziców gdzie ja jestem i że Jurek też żyje. I nagle widzę moją mamę, poznałam ją wsród tłumu ludzi. Taka sama jak zawsze, w swoim czarnym futrze, czarnym kapeluszu z pakunkiem w ręku. Rzuciłam się naprzeciw niej. Całowałyśmy się płacząc i śmiejąc się na przemian. Moja mama powiedziała ..."Dziecko moje, znalazłam cię nareszcie"..... Płakałam długo po tym śnie.

26-1-1945

Odgłosy poranku na sali. Jeszcze szaro. Słychać bez przerwy stukot drewnianych sabotów w drodze do latryny.. Dręczy myśl, że zaraz trzeba wstać. A taaaaak zimno ....! "Koleżanki, szybko wstawajcie, bo nie zdążycie posprzątać przed apelem" - "Wyobraź sobie co mi sie śniło" - "Napewno dostanę paczkę" - "Co to jest jak śnią się wszy?" - "A jak dzieci?" - "Cicho, do cholery, nie można spać!"- "Słyszałyście w nocy alarm?"- "A odgłosy frontu?"- "Napewno dziś posunęli się

ze 20 km, bo tak wyraźnie słychać było działa" - " Daj Boże, aby już prędzej nas przejęli" - "Tylko, kto to będzie?"

Takie pseudonimy słyszy sie w moim baraku:

"Żaba", "Hala", "Mira", "Krzew", "Kamieńskie Obłoki", "Pokłosie", "Gałązka", "Jagoda", "Kolec", "Wisła" i "Dopływy" (Jej córki), "Pączki", "Kama", "Medyczka", "Dziewanna", "Akacja", "Trawa", "Mała Hala", "Kaktus", "Muchomor", "Supełki", "Kalina", "Mucha".

Jutro nasz barak idzie na "Komenderówkę". W związku z tym ożywiona teraz dyskusja. Które do kuchni, które do lasu po torf, które do rąbania drzewa, do odwalania śniegu, do wywożenia z latryny.

Wpadły do nas 3 koleżanki z innego baraku z harmonią i pląsami. Bardzo miłe i morowe dziewczyny. Radość ta z powodu otrzymania paczek angielskich i amerykańskich Jedna z nich wyjęła całą paczkę "Marvelów" i wyczęstowała je wsród naszych. W zamian za to jedna z naszych poczęstowała je kanapkami z polskim boczkiem, który właśnie otrzymała w paczce z domu.. Zaczęły się pląsy na całego. Starsze panie "fukają" na pryczach, ale to nie wiele pomaga.

29-1-1945

Komenderówka wczorajsza przeszła łatwo. Byłyśmy na "dalekim śniegu". 20 dziewcząt. Dostałyśmy łopaty i kilofy i pod komendą Niemca odkopywałyśmy śnieg z szyn kolejowych. Zmarzłyśmy tylko bardzo. Nie miałam na sobie nic ciepłego. Ani czapki, ani nawet rękawiczek.

1-2-1945

Wczoraj miałyśmy kilka odczytów. Jeden o filozofii w Grecji, drugi w innym baraku o Freudzie. Zelwerowiczówna miała bardzo ładny występ. Podobno w innym baraku Grossówna miała jakiś monolog. Niedziela schodzi zwykle dość przyjemnie. Była też lepsza zupa -grochówka, też rzadka, ale można było złowić w niej parę ziarenek grochu, niestety dużo też robaków.

Obóz ten nie byłby az tak przykry, gdyby nie to straszliwe zimno, potworny głód, ogromna tęsknota za domem, skandaliczne warunki higieniczne - umywalnia jest prawie że na zewnątrz, z wiecznie zamarzniętą wodą. Ani jednej miednicy, w której możnaby było podmyć się, albo coś uprać. Jest podobno jakaś pralnia, ale to okazało się mitem. Radzimy sobie jak tylko możemy. Śpimy po dwie. Energiczne mycie w zimnej wodzie, a nawet śniegiem, nieco rozgrzewa. Z różnych blach i puszek porobiłyśmy miedniczki. Z puszek też powstały prymitywne, ale zupełnie nie złe kuchenki. Paliwo strugamy z desek, na których śpimy. Deski są wprawdzie coraz węższe. No cóż....? Chęć ugotowania ukradzionego ziemniaka jest mocniejsza niż wygodne spanie. Pozatym handlujemy z okoliczną ludnością, a nawet z pilnującymi nas na komenderówkach Niemcami....Nie mogę pisać....! Nie potrafię zupełnie skupić myśli. Koncetrują się one wokół jednego tylko tematu - KIEDY PRZYNIOSĄ CHLEB? - Jestem tak głodna, że już nie wytrzymuję czasami. Na myśl przychodzi mi ciągle sad, w którym jest pełno owoców i jedzenia .....i rodzice.

6-4-1945

Dostałam list od kuzynki - Ireny Dalewskiej. O mojej rodzinie nic się nie dowiedziałam. Jesteśmy spakowane i czekamy na coś. Podobno są już walki na wschodnich przedmieściach Berlina. Od dziś zabronili oficjalnie wymieniać cokolwiek na komenderówkach. W 4-ym baraku ta, która zgłosiła się do cywila, dostała "kocówkę", bo nie chciała oddać munduru.

II/17

Od rana do wieczora spekulujemy kto nas oswobodzi. Co z nami się stanie, gdy front się zbliży. Krążą po obozie tak przeróżne plotki, że albo włosy stają na głowie, albo śmiejemy się z nich - są zbyt fantastyczne.... Dostawy żywności są bardzo nieregularne. Porcje nasze są coraz mniejsze. Od kilku tygodni zupy są zupełnie bez soli.

Obóz został wyzwolony 12-go Kwietnia 1945 roku przez mały patrol 2-go Pułku P-Pancernego I -ej Dywizji Pancernej Generała Maczka. Świetnie opisuje ten moment dowódca tego pułku Płk.Stanisław Koszutski w swojej nadzwyczaj interesującej książce p.t. "Wspomnienia z Różnych Pobojowisk".

A dziewczynom w obozie nawet nie śniło się takie szczęśliwe zakończenie tej tułaczki.

OSWOBODZENIE OBERLANGEN 12, Kwiecień, 1945

Był to początek Kwietnia. Polski 2-gi Pułk Przeciw Pancerny, który wchodził w skład I-ej Dywizji Pancernej pod dow. Gen. Maczka, znajdował się, po przekroczeniu rzeki Mozy, na pograniczu Holandii i Niemiec. Zatrzymał się w okolicach miejscowości Ter Apel. Był to okres dogorywania "niezwyciężonej" armii Hitlera. Pułk ten pełnił tam służbę ubezpieczeń, od czasu do czasu angażował się w działaniach ofenzywnych. Ale naogół, jak opowiadali potym, była to nuda i żmudne czekanie na zakończenie działań wojennych i wreszcie udział w ostatecznej zemście. Aż pewnego dnia coś zaczęło się dziać. Ppor.Papée zakomunikował dowódcy Pułku, Ppułkownikowi St. Koszutskiemu, o istnieniu 10 km od Ter Apel jakiegoś polskiego obozu, silnie strzeżonego, nie wiadomo czy z jeńcami wojennymi, czy więźniami politycznymi. Naoczny świadek, Holender, twierdził że słyszał jakoby Niemcy planują wyewakuować, lub wymordować Polaków. Ppłk. Koszutski stanął wobec bardzo trudnej decyzji. Pozwolić Niemcom na brutalne zlikwidowanie Polaków, czy wyłamać się z wyraźnego rozkazu, że Pułk ma dotrzeć tylko do Ter Apel i nie wkraczać na ziemie niemieckie. Co również oznaczałoby narażenie własnych ludzi na ogromne ryzyko.

Zdecydował, że pojedzie sam rozpoznać ten mityczny obóz. Zkompletował w tym celu mały patrol w składzie: 1 czołg, 2 scout-car'y i motocyklista.

W czołgu jechali: d-ca pułku, ppor.Papée, strzelec Zemlik jako radio-operator, kapral Szmeller jako kierowca i gość z Londynu Ppłk. Czapski jako strzelec przedni. W scout-car'ach - por.Barbarski i por.Kulesza (lekarz pułkowy) z kierowcami. Motocyklista - strzelec Witkowski. W ostatniej chwili dołączył do ekspedycji jeep por.Kozaka z korespondentem wojennym Walentynowiczem

Dwunastego Kwietnia o godzinie 2-ej patrol ruszył. Zaraz za Ter Apel wkroczyli na ziemie niemieckie. Przywitała ich ponura atmosfera opuszczonych domów, zasłoniętych okien, zamkniętych obór i stajen. Ani śladu jakiegokolwiek życia. W tej pustce czuli niezmierną wrogość i nienawiść. W każdym momencie mogłaby też być zasadzka. Gdy mijali dalej wioskę, w oknach i na płotach wetknięte były białe chustki .

Po przejechaniu zagajnika za wsią z lasu odezwały się strzały świadczące, że w pobliżu były jakieś przyczajone siły niemieckie. Jechali wolno również wyładowując się w strzelaniu, aż wyszli z zasięgu ognia nieprzyjaciela. Za zagajnikiem otworzyła się goła równina i daleko na horyzoncie zobaczyli szarzejące zabudowania i charakterystyczne dla obozów wieżyczki strażnicze. A więc "OBÓZ" nie był imaginacją Papéego.

II/18

Pułkownik Koszutski zarządził dalszy plan akcji, biorąc pod uwagę swoje skromne siły i psychologię wroga. Jeden scout-car pojechał szybko prosto na drugą stronę obozu, aby ubezpieczyć od wschodu, drugi został dla ubezpieczenia tyłu, a czołg miał majestatycznie jechać wzdłuż drutów, aby zrobić odpowiednie wrażenie. Tak też zrobili. Gdy tylko zobaczyli przerwę w drutach i bramę - ciężkie, podwójne, drewniane wrota, okręcone drutem kolczastym.....Pułkownik wydał rozkaz:

Cytuję tu za pozwoleniem Instytutu Polskiego w Londynie rozdział z książki Ppłk. St. Koszutskiego pt. "Wspomnienia z różnych pobojowisk" moment oswobodzenia Oberlangen i jego osobiste wrażenia po tym co zobaczył.

...“Szmeller” - wołam do mikrofonu - “Zwrot w prawo - wal w bramę”!
Skręca czołg gwałtownym ruchem i uderza w środek konstrukcji. Brama pęka. Walą się na nas słup i deski.
Ciągniemy za sobą resztę rusztowania zaplątanego w drutach.
Z lewej strony za bramą barak, coś jakby wartownia.
Idzie po niej seria z dwóch K.M. po oknach. Za sekundę wysypują się z baraku Niemcy. 12 sztuk ich jest- podnoszą ręce do góry. Witkowski zeskakuje w biegu z motocykla i doskakuje do nich..
Niezgaszony motor motocykla pracuje w konwulsjach na ziemi. Witkowski staje przed Niemcami trzymając ich pod lufą Tommy-gun'a.
Tymczasem z budynku naprzeciw wartowni ktoś strzela do nas z pistoletu maszynowego. Zemlik ze swego odpowiada z całym wigorem, nie żałując okien ani amunicji. “Pułkowniku Czapski, trzeba oczyścić tę chałupę. Roland - stój” wołam.
Gramoli się z czołga ppłk. Czapski i utyka we włazie. Trzeba go wyciągać. Jest moment straszliwie komiczny. Wyszarpnięty z dziury włazu płk. Czapski ląduje jak długi na ziemię, plackiem u nóg stojących z podniesionymi rękami Niemców. Wstaje, mocuje się z rewolwerem i wreszcie biegnie do budynku. Po chwili wychodzi z niego major niemiecki z sierżantem. Major z godnością oddaje swój pistolet i mówi:
“Poddaję obóz. Jesteśmy żołnierzami, a nie Gestapo. Proszę o odpowiednie traktowanie”.
Na tą scenę wychodzą z czołgu - “Niech Pan ich rozbroi panie Emeryku” - mówię - po czym do Papéego: “Papée - wal naprzód czołgiem do środka obozu. Witkowski za mną - biegiem”.
Papée ze Szmellerem łamią czołgiem drugą wewnetrzną bramę i wjeżdżają w szeroką ulicę wiodącą do środka. Ja z Witkowskim biegniemy obok. Jesteśmy teraz na skraju czworoboku baraków.

.....Co u diabła...? Co to za stwór...? Jakaś malutka postać biegnie do nas . Postać ubrana jest w długi, prawie do ziemi, płaszcz żołnierski. Na głowie ma polską furażerkę z orzełkiem i proporczykiem 7-go pułku ułanów...! A w sumie jest to młodziutka, ładna dziewczyna.
"English? Francais? Americano? Kanada? Sind sie? - krzyczy do nas.
"Polacy, Polacy - Panienko. 1-sza Dywizja Pancerna - Kochanie" - wrzeszczy Witkowski.
"Panowie Polacy? - To cud" - mówi panienka i biegnie z nami.
Wpadamy na duży plac alarmowy, pomiędzy barakami. Z baraków wysypują się jak z ulów same kobiety. Wszystkie w mundurach, większość w strzępach mundurów. Otaczają czołg i barykadują drogę. Tłum tych kilkuset kobiet jest tak fantastyczny, że wydaje się zainicjowaną maskaradą do zdjęć filmowych. Jesteśmy całkowicie zaskoczeni tym widokiem. Wszystkiego, ale nie tego spodziewaliśmy się w najbujniejszej fantazji na tę "wyprawę". Myśleliśmy, że spotkamy wychudzone widma w pasiakach obozu koncentracyjnego. Może wariatów, może jenców wojennych mężczyzn, może wreszcie zasadzkę - ale kobiety...? Setki polskich kobiet w mundurach wojskowych, które nas nagle otoczyły, odebrały nam mowę ze zdumienia. Zatkało nas zupełnie....!
Tłum ten krzyczy, gestykuluje, śmieje się i płacze dokoła nas, podczas gdy my myślimy że przecież w każdej chwili mogą nas tu zaatakować Niemcy i co wtedy się stanie? Jesteśmy całkowicie unieruchomieni, w środku jakichś sufrażystek, które wchodzą nawet na czołg całując i ściskając Papéego i Kubę.
Przeciska sie wreszcie przez zbiorowisko jakaś pani z odznakami kapitana łączności.
"Melduję się jako komendantka obozu Polskich kobiet, jenców wojennych w Oberlangen. Moje nazwisko Milewska" - mówi trzymając dwa palce przy furażerce.. W odpowiedzi przedstawiam się - "Płk.K. z 1-ej Polskiej Dywizji Pancernej. Niech Pani natychmiast robi zbiórkę. Wychodzimy z tąd. Niemcy mogą lada chwila uderzyć, a my nie mamy właściwie nic aby Was bronić. Nie ma tu również żadnych innych naszych oddziałów. Proszę się spieszyć". "Ale to przecież nie jest możliwe - odpowiada kpt. Milewska. My nie jesteśmy gotowe do marszu. Są chore i niemowlęta...." "Na rany Boskie niech Pani zrobi zbiórkę i uporządkuje to towarzystwo, bo my się nie możemy ruszyć, i Niemcy mogą wystrzelać nas

II/20

wszystkich jak kaczki. Jeden karabin maszynowy zrobi tu masakrę - Prędzej" - naglę, widząc swoje "siły" uwięzione w masie kobiet.
A tymczasem ta masa kobiet zaczyna szaleć na dobre. One są zaskoczone jeszcze więcej niż my. Jeńcy, żołnierze Armii Krajowej, wiwatują, śmieją się, krzyczą, płaczą, ściskają nas i pytają o setki rzeczy na raz. Witkowski jest głównym tryumfatorem dnia. Oblepiony kurzem, w kombinezonie motocyklisty, z Tomy-gunem w ręku jest symbolem zwycięstwa. Potrząsa dłońmi wyzwolonych rodaczek, niektóre z nich szarmancko całując. On jest w siódmym niebie. Papée jest dlaczegoś mniej poważany. Widocznie wygląda nie tak "bojowo" jak brudny i usmarowany Witkowski, więc jest w mniejszej adoracji obrończyń Warszawy. Pułkownik nie liczy się zupełnie.
Komendantka obozu zarządza zbiórkę. Robi sie luźniej, gdy sprawnie i szybko formują się na placu w czworobok. Z tłumu robi się zwarty porządny oddział. Widać że to są żołnierze, co bili się. A bili się przecież na barykadach, na gruzach domów własnych, na ulicach własnej Stolicy, bez broni prawie, przeciwko czołgom i samolotom, przeciwko szalonej przewadze nieprzyjaciela, nie mając nawet za sobą ochrony konwencji co każe szanować rannych i jenców....I ci żołnierze to przecież kobiety, które natura do innych przeznaczeń powołała
Zaczyna ogarniać mnie dziwaczne wzruszenie. Wydaje się mi, że śnię jakiś sen. Sen, który chciałem mieć.
"Barakami raport" - zarządza komendantka. Kolejno podchodzą dowódczynie baraków do komendantki. Stają na baczność i salutują. Dwa palce do czapki. Boże! - Jakże to dawno tak było! Składają raporty. Dziewczyna adiutant zapisuje stany.
"Batalion baczność. Na prawo patrz" - komenderuje zkolei komendantka.

Pierwszy raport
Kpt. St. Koszutski i Kpt. Milewska

"Panie Pułkowniku, melduję posłusznie batalion kobiet z Obrony Warszawy. Stan 1716 żołnierzy na placu. 20 w izbie chorych i 7 niemowląt. Batalion baczność"!
Idę przed szeregami batalionu. Na żadnym przeglądzie nie śledziły mnie tak oczy

II/21

żołnierzy, ani tak w żołnierskie oczy nie patrzyłem. A jest w co patrzeć. Oczy są przeważnie niebieskie i przeważnie bardzo młode. Oczy przeważnie we łzach. Ja również już dobrze nie widzę, trochę jak przez mgłę. A tu przecież stoją przede mną na baczność obrońcy WARSZAWY. To są ci legendarni obrońcy co przez dwa miesiące samotnie się bili na jej gruzach. Starsze panie i wiek średni, a głównie młodzież i wiele zwyczajnych dziaciaków, niekiedy od 12 do 16 lat. Zadzierzyste postacie w furażerkach polowych, polowych czapkach i polskich rogatywkach. Kilka z nich ma czapki szwoleżerskie oraz amerykańskie i angielskie. Wszystkie z orzełkami. Na kołnierzach odznaki broni - piechota, wojska pancerne, wojska łączności, żandarmeria, lotnictwo, wojska sanitarne, 1-szy pułk szwoleżerów oraz 7-my, 9-ty, i 11-ty Pułki Ułanów. 1-szy Strzelców Konnych i wiele innych.
Płaszcze również najrozmaitsze. Polskie żołnierskie i oficerskie, amerykańskie, angielskie, francuskie, a nawet niemieckie. Kilkadziesiąt w ubraniach cywilnych z biało-czerwoną opaską na ramieniu. A buty?.... damskie pantofle wszystkich stylów i odcieni, buty żołnierskie z cholewami i saperki, buty gumowe, nocne pantofle i łapcie z łyka lub słomy. Kilka ma nogi obwiązane poprostu szmatami. W ich ubraniu widać ich żolnierski los - jakże inny od naszego!
Chce się jakoś oddać cześć tym dzieciom i matkom, co stoją przede mną na baczność, uwolnione przez braci z za morza. Żandarm i Szmeller i Witkowski płaczą. Może oni oddają tą cześć najlepiej. Pułkownik musi celebrować do końca. Kontynuuję przegląd i wreszcie staję przed masztem. Jakże trudno znaleźć odpowiednie słowa do okazji i gardło jest scisnięte i tak mało pewności siebie. Słowa wypowiedziane ważne bedą jednak dla tych 1716 kobiet czekających na nie. Czekały na nie 6 miesięcy za drutami, śniąc że przyjdzie dzień WYZWOLENIA.
Dzień dzisiejszy jest tym dniem i jest piękniejszy od tego nawet wymarzonego, bo wolność przynieśli nie obcy, ale towarzysze broni, legendarne Wojsko Polskie, co walczyło za morzami dla tej samej sprawy. Trzeba być godnym okazji. Pierwszy akt uwolnienia pasuje do obrazu. Grzmot wystrzałów. Wyłamanie wrot więzienia i warkot wozów pancernych. Panika i kapitulacja ciemięzców. Tak być powinno! I tak faktycznie się stało. Teraz muszą być odpowiednie słowa:
"Żołnierze Armii Krajowej i Towarzysze Broni....historyczny moment spotkania na Ziemi

I/22

Niemieckiej dwóch Polskich Sił Zbrojnych.....Niech ten dzień 12 kwietnia zostanie na zawsze w naszej pamięci, jako ukoronowanie dążeń i trudów....Jesteście Wolne! Niech Żyje Polska"! - kończąc salutuję.
Adiutant obozu wyciąga pomięty zwitek płotna z kieszeni, zaczepia do sznura. Włoski ksiądz wciąga płótno na maszt. Biało-czerwona chorągiew wypręża się na wietrze. Z szeregów płynie - "Marsz, marsz Dąbrowski" ....Płyną słowa hymnu po płaszczyźnie Westfalii i gonią uciekające niemieckie dozorczynie i strażniczki. Pod masztem leży inna płachta - symbol, splugawiony znak krzyża, w prochu ziemi z której powstał.

TAK UWOLNILIŚMY OBERLANGEN

Nasze inwalidki

W nocy pojechałem do sztabu dywizji i zameldowałem gen. Maczkowi o całej awanturze. Generał naurągał mi za "samowolę" i za "prywatną wojnę", ale był w końcu bardzo rad tej niesubordynacji. Nazajutrz sam oficjalnie przywitał i przejął obóz i był szczerze wzruszony tym co zobaczył.

Wolne . . . ale jeszcze nie zupełnie

Trudno opisać sceny radości i świętowania, które potym nastąpiły. Wieść bowiem o uwolnieniu rozeszła się po dywizji lotem błyskawicy. Wkrótce rozpoczęły się tutaj całe pielgrzymki odwiedzin. Kto tylko mógł wyrwać się na parę godzin z oddziału siadał na jeepa i jechał szukać krewnych i znajomych, lub choćby witać legendarne Polki z obrony Warszawy. Odnaleziono nie tylko znajome i krewne, ale i siostry i córki, narzeczone i nawet dwie żony. Powstały miłości, miłostki, romanse i małżenstwa. Czy można się temu dziwić?
Dywizja wzięła na siebie zadanie zaopatrzenia i zaprowiantowania obozu. Zwożono więc ubrania, buty,

25

II/23

żywność, lekarstwa, łakocie i sprzęt domowy (oczywiście "zarekwirowany" u Niemców). Co tylko kto miał, wiózł spragnionym i potrzebujacym - oficjalnie i nieoficjalnie. Nie tylko my, ale również Anglicy i Kanadyjczycy. Wkrótce obóz napęczniał dobrobytem.
Wyprawa maleńkiego oddziału 2-go pułku pancernego, która skończyła się wyzwoleniem Stalagu 6C, niewątpliwie była szaleństwem i mogła się skończyć tragicznie. Wg. zeznań jenców, w okolicy Oberlangen operowały 3 czy 4 kompanie Niemców, które miały za zadanie maszerować w kierunku granicy holenderskiej. Jakieś ich elementy prawdopodobnie spotkaliśmy właśnie jadąc z Ter Apel. Czemu nie działały bardziej aktywnie i co z nimi się stało, nie wiadomo. Prawdopodobnie w meldunku patrolu, który nas ostrzelał, nasz malutki zagon urósł do rozmiaru wielkich sił pancernych i Niemcy znikli nie ryzykując walki.
Czy obóz miał być ewakuowany? Niemiec, komendant wspominał, że miał rozkazy przygotowawcze do ewakuacji i obiecany transport. Wątpliwe jednakże jest czy Niemcy mogliby to wykonać. Ale to nie ważne. Faktem pozostaje, że polski pułk pancerny uwolnił w zach. Niemczech kobiety-żołnierzy, wzięte do niewoli w Warszawie i że przez to zmienił się los wielu - tak uwolnionych jak i uwalniających.

Nasi wybawcy z 1-ej Dywizji Pancernej tak opisują to co zobaczyli w obozie Oberlangen.

Płk. S Koszutski napisał wkrótce z Anglii w liście do Komendantki:

"Spotkanie z Wami było dotykiem żywej legendy w mundurze polskiego żołnierza - Was takich jakich byłyście w momencie wyzwolenia - łachmanach prawie, z gotowym sztandarem i orłem i hymnem. Może niedługo będziecie już inne. Ale tam 12-go kwietnia byłyście żywą legendą. Może my byliśmy tem dla Was również. Ja nie wiem. Ale wiem, że ja czułem się cząstka jej. I to było piękne...po spotkaniu Was nie było "chińskich murów", kontakt był natychmiastowy i bliski, jakby między nami nie było rozłąki...Uwolnienie Wasze i wspomnienia wszystkie związane z Wami zostają chyba jako najsilniejsze przeżycia mojego życia - wracają one wciąż tutaj...
Z tego Waszego obozu idzie do mnie jakaś inna Polska, którą się tu może zapomniało...ja nie wiem jak to pisać...zobaczyć nagle Polskę o 10 km od granicy holenderskiej na skraju błot Oberlangen - przez Was! Nie wiem co z Wami będzie. Może przyjedziecie do A.T.S...dla mnie zostaniecie takie jak Was tam widziałem..."

II/24

Stefan Kossak w książce - W uwolnionym obozie, "Polska Walcząca" tak to opisuje:

"...To pierwsze spotkanie z ludźmi z Kraju. Spotkanie w najbardziej chyba dramatycznych warunkach, kiedy Dywizja, wypierająca Niemców z Holandii zapisuje może ostatnią kartę udziału polskiego w tej wojnie.
Spotkanie z Polkami- żołnierzmi, które przeszły najtragiczniejsze ze wszystkich bitew tej wojny, które opuszczając Warszawę patrzyły własnymi oczyma na pozostałe po niej ruiny i zgliszcza.
...Przyjmują nas serdecznie, chociaż wyczuć można wzajemne onieśmielenie. Po naszej stronie obawa, czy nam za złe nie biorą i tego pobytu na obczyźnie i tego zaaklimatyzowania się w szerokim świecie. Po tamtej stronie niepewność - jak wypadnie ta pierwsza rozmowa, jakie nowiny przyniosą ci Polacy "Swoi a przecież juz inni" (jak to potym jedna z pań okreslila).
Ale to uczucie mija szybko. Rozmawiają teraz wszyscy jak starzy znajomi. Okazuje się, nie straciliśmy łączności, że nadal się rozumiemy, że mamy te same troski i plany, które najkrócej chyba ujmuje pytanie: kiedy da się wrócić do Polski? To pytanie powraca stale, wszędzie. Ale nie brak innych: co o nas myślicie tam na obczyźnie? Co wiecie o Warszawie? czy zdajecie sobie sprawę co to było? czy zagranica wie o tym dostatecznie? czy poinformowaliście naszych sojuszników o tym jak tam naprawdę było?

...Trudno po kilku godzinach w obozie wyrobić sobie sąd, wyobrazić sobie nawet - jak tam wyglądało codzienne życie. Przedewszystkiem uderza nas jedno: nie słychać żadnych skarg. Nikt się nie skarzy. Słyszymy opowiadania o najgorszych chwilach walk warszawskich, kiedy nie można było próbować ratować najbliższych z gruzów domów, bo trzeba było wytrwać na wyznaczonym posterunku. Słyszymy o czterodniowym transporcie trzystu chorych i personelu szpitalnego w szczelnie zaplombowanych wagonach bez odrobiny pożywienia czy napoju. Slyszymy o szykanach wymyślanych przez Niemców, ale to wszytko wypowiedziane spokojnie, poważnie i bez akcentu skargi. Te kobiety, które opuściły ruiny są bez wiadomości od najbliższych, które przetrwały długie lata niemieckiej okupacji, wzięły udział w potężnym zrywie walki o wolność stolicy - te kobiety nie skarzą się, nie żalą.
Przeciwnie: wydaje się, że niczego nie potrzebują. Niczego oprócz odpowiedzi na pytanie: kiedy wrócimy?
Trzeba użyć trudu i namowy, aby nakłonić nasze Polki do przyjęcia papierosów czy czekolady. Wydawało by się, że im naprawdę niczego nie potrzeba.
Przechodzimy przez sale szpitalne - oprócz chorych są jeszcze ciągle ranne z obrony Warszawy i inwalidki bez rąk, bez nóg. To chyba powinno pozostawić najbardziej przygnębiające wrażenie. A tymczasem wszędzie

II/25

Warta w Oberlangen po wyzwoleniu
Działania wojenne były jeszcze nie skończone

Tak gotowałysmy

II/26

ten sam nastrój, ten sam duch - wiara w przyszłość i głęboki, pozbawiony patosu patriotyzm. Podsumowując wrażenia z pobytu w obozie trzeba by przedewszystkiem próbować oddać panujący tam nastrój. To jest zadanie najtrudniejsze. Nastrój jest bardzo polski, żywy a zarazem głęboki. Brak patosu i wszelkiego cierpiętnictwa. To nie jest środowisko męczenniczek, które niczego od życia nie żądają. To zbiorowisko kobiet i dziewcząt, które przecierpiały wiele, zbyt wiele - ale nie zatraciły ani wiary w przyszłość, ani pogody ducha. Pobyt przez kilka godzin w obozie był dla przeciętnego Polaka - najmocniejszym chyba przeżyciem od wielu lat. Był pierwszą probą zetknięcia na szerszą skalę z ludźmi z Kraju, z ich własnym, innym od naszego, ale bardzo, może nawet bardziej polskim sposobem myślenia. Próba wypadła dobrze, żadna strona nie wyniosła z niej uczucia obcości , ale przeciwnie, wzmocniło się poczucie wspólności, jedności...O ile dla nas na obczyźnie upór i wytrwałość z jakimi trzymamy się raz wytyczonej drogi do Polski - jest legitymacją do tego powrotu, to dla tamtych ta niezachwiana wiara, nawet w najczarniejszych chwilach, ten pełny udział w walce o Warszawę i długi okres okupacji czy niewoli- są gwarancją ogromnej, nieoczekiwanej wielkiej żywotnosci narodu polskiego i polskości".

PO OSWOBODZENIU

Po paru tygodniach zostałyśmy przeniesione do pobliskiego obozu Niederlangen, opuszczonego byłego obozu koncetracyjnego dla niemieckich oficerów.

Był to obóz razem z masowymi grobami i atmosferą potwornej śmierci i tragedii, jakie tam się odbyły jeszcze tak nie dawno.

Była to czyjaś wielka pomyłka umieścić nas w tym obozie na następne kilka miesięcy czekania aż będziemy gdzieś indziej rozmieszczone.

Myslałyśmy wieczorami o tych zbiorowych grobach, spałyśmy na pryczach z napisami świadczącymi o tragedii tych ludzi czekających na śmierć. Patrzyłyśmy ze zgrozą na sadzawkę na środku obozu myślac ilu tam może Niemców zostało zatopionych? Gryzły nas te same pluskwy (było ich zatrzęsienie), które i im dokuczały. Wyobraźnia pracowała. Dziewczęta budziły się w nocy z krzykiem.

Wojna oficjalnie nie była jeszcze zakończona. Dowiedziałyśmy się dopiero o ostatnich wydarzeniach w świecie. O bombie atomowej, o układach w Yałcie, podpisanych przez Prezydenta Roosevelta, Premiera Churchila i Stalina. O tym że Polska została tam sprzedana. O tym, że powrót do wolnej Polski nie wchodzi już w rachubę.

WŁOCHY 313-ty PLUTON KARTOGRAFICZNY

Po 4-ch miesiącach postanowiłam wstąpić w szeregi 2-go Korpusu gen. Andersa we Włoszech.

Jechałam do Włoch jednym z pierwszych transportów byłych jenców wojennych. Po drodze na każdym postoju szukałam i pytałam o mojego brata, Jurka, którego straciłam w obozie Lamsdorf. Nie wierzyłam własnemu szczęściu, gdy na postoju w olbrzymim

wojskowym obozie w Darmstadt, 1-go sierpnia a więc w samą rocznicę Powstania, znalazłam mojego brata.

Już teraz za nic nie chciałam go stracić. Za pozwoleniem dowódcy naszego transportu przemyciłam go w mojej ciężarówce ukrytego pod naszymi bagażami. Razem ze mną wstąpił w szeregi 2-go Korpusu.

Przyjechaliśmy do Włoch w środku lata, 18-go Sierpnia 1945 roku. Życie tu toczyło się już normalnie, choć nie tak dawno jeszcze, przez ten kraj przewalił się koszmar wojny. Dziesiątki bitew, klęsk i zwycięstw z udziałem tysięcy wojsk różnych narodowości.

Droga prowadziła wzdłuż Adriatyku. Po obu stronach winnice i sady z tak upragnionymi owocami. Widzieliśmy ludzi na plażach cieszących się piękną włoską pogodą. Na postojach nasze nie kompletne mundury wzbudzały czasem uśmiechy, ale młode i szczęśliwe twarze kompensowały ten brak elegancji.

Przy pierwszej okazji sprzedałam przygodnemu Włochowi niektóre części mojego munduru, i olbrzymie wojskowe buty. Za to mogłam już kupić normalne damskie pantofle.

Język włoski nie przedstawiał dla mnie większego problemu. Znajomość francuskiego i podstawy łaciny ułatwiały posługiwanie się nim. A w razie potrzeby zawsze było 10 palców do pomocy.

Z dostępnych oddziałów wojskowych wybrałam szkołę Kartograficzno-Kreślarską jako coś najbardziej zbliżonego do moich artystycznch talentów. Kurs ten został utworzony dla takich jak ja osób.

Zakwaterowano nas w Recanati, pięknym miasteczku w środkowych Włoszech. Miasto to znane jest z urodzenia w nim śpiewaka operowego Benjamino Gigli. Zamieszkałyśmy w najładniejszym chyba domu w tym mieście - Centro di Studi Leopardiani. Był tam przed wojną ośrodek sztuki i poezji poświęcony znanemu włoskiemu poecie - Giacomo Leopardi. Ten piękny budynek użyto tymczasowo na naszą kwaterę.

Dla nas był to raj. Marmurowe schody i posadzki, luksusowe urządzenia. Dostosowano go tylko dla naszych potrzeb do mieszkania i uczenia się. Dla 30-u uczennic sprowadzone były kreślarskie stoły. Na piętrze łóżka, każde z moskiterem, dla nas i 6-u osób obsługi. W ogrodzie nawet pomyślano o leżakach, siatkówce i.t.d.

Wykładowcy przyjeżdżali codziennie z 12-ej Kompanii Geograficznej, w skład której wchodził nasz 313-ty Pluton Kartograficzny.

Kurs trwał około 1 1/2 roku. Skończyłam go jako kreślarka No 1- najlepsza. Następnie skończyłam kurs podoficerski i za to dostałam jedną belkę na ramieniu, z tytułem - Starsza Ochotniczka.

W tejze Kompanii Geograficznej poznałam por. Edwarda Kwaśnika - Geodetę, byłego jeńca wojennego w obozie oficerskim

Centro di Studi Leopardiani
Tu mieszkałyśmy i miałyśmy wykłady

II/28

w Murnau. Za zasługi w czasie działań wojennych w 39-ym roku odznaczony był Krzyżem Virtuti Militari.

Ślub odbył się w pobliskim małym miasteczku - Loreto, w bazylice, znanej z litanii loretanskiej.

WYJAZD DO ANGLII

Nadszedł czas na zlikwidowanie Polskiego 2-go Korpusu. Przewieziono nas do Anglii. Znów znaleźliśmy się w obozach. Tym razem przeznaczonych na przygotowanie nas do życia w cywilu. Spędziliśmy tam następny rok życia.

313 Pluton Kartograficzny - na "Spocznij"

Warunki były bardzo marne. Mieszkaliśmy w blaszanych barakach - "beczkach śmiechu", bo były w kształcie beczek, przeciętych na pół.

W tych okolicznościah, zdala od rodziców i bliskich, urodziła nam się córeczka, Basia. Wkrótce wynajęliśmy nasze pierwsze mieszkanie w Liverpool'u, gdzie następnie przyszedł na świat mój syn, Marek.

Język angielski przedstawiał jednak olbrzymi problem. Zupełnie odrębny od wszystkich

Slub odbył sie w Loreto
W głębi - mój brat

innych znanych mi języków. Dużo czasu zabrało mi na opanowanie go.

W 1955-ym roku wyemigrowaliśmy do Stanów Zjednoczonych. Tu, w tym kraju urodziło nam się trzecie dziecko, Ania.

W następnych latach zostałam wdową, po pewnym czasie wyszłam po raz drugi za mąż, za doktora Piotra Badmajewa.

Dopiero będąc we Włoszech byłam w stanie nawiązać pierwszy kontakt z moimi rodzicami. Nawiązaliśmy korespondecję, w której wreszcie mogłam powiadomić ich o moim ślubie i urodzeniu dzieci. Ale dużo lat minęło zanim mogłam zobaczyć moją mamę. Ojciec umarł nie widząc mnie ani swoich wnucząt. Mama przyjechała do Ameryki w 1961-ym roku. Wsród uścisków i płaczu wreszcie zobaczyłysmy się po upływie 18-u lat.

KONIEC

Podróżowałyśmy niezbyt luksusowo

Z wizyta w Kompanii Geograficznej

Po wykładach

12 Kompania Geograficzna - Nasze władze i nasi wykładowcy

Wizyta Gen. Andersa

Niebezpiecznie było wyciągnąć papierośnicę

II/30

Z koleżankami

Bellagio - Como - W podróży poślubnej

W Wenecji

Autorka - ostatnia z prawej

KARTKI Z MOJEGO PAMIETNIKA - OBERLANGEN 1945 r.

Kiedy jakiś dzień wolny, ze względu na święta, zajmie Kochanemu "Kolcowi" "Papusia" Oberlangen, 7.IV-45

P.S. Kolejne kartki z pamiętnika proszę dołączyć do pamiętnika "Kolca" Ciebie.

OBERLANGEN

Tylko chleba na lewo
Pięć małych Supełków
Paliło deski z pryczy
Łagmajster stale krzyczy
I ciągle jeszcze krzyczy
Stale co kto robi
Nawet gdy dobra chęć
Winą jest zawsze tylko
Małych Supełków pięć

Sylwia Dziewanka
Akacja Joanna
Krzew Hala
Kolec Ala
I nasza Żuzia
Siostrzyczka Irenka

dn. 19.III.45r. "

Pięć małych Supełków
Żyło w obozie dlatego
Było im bardzo tęsknio
Za mamą i za tatem
Pięć małych Supełków
Wożono torf daleki
Czas im się bardzo dłużył
Dnie były jak wieki
Pięć małych Supełków
Pchało wóz od latryny
Nosy miały zatkane
I przeraźliwe miny
Pięć małych Supełków
Poszło do lasu po drzewo
Gałązek nie przyniosły

Józefa RADZYMIŃSKA
„MIETKA"

Myślę, Alu, że cierpienie nasze jest piękne: tworzymy historię.
1945r. na pamiątkę - Miecz Ystka

Przypomnienie stoi przeciw niewoli – za nic – wszystko się wynagradza

Przyszłe miesiące – ludzie i czasy się zmieniają – niepodległa Polska będzie historią się powtarza a ludzie nasze imiona te same Tobosia i Tomasia.
Dn. Kocowi Leśniewska pozdrawia Danka „Hedyczka".
Oberlangen 6-IV-45

DANKA OLKUSIEC
WASILEWSKA

„Hanna Pietrusia" = Zawadzka Świętosława
„Mary Ann" = Nowakowska Maria
„Ha. Iza" = Lewandowska Krystyna
... tamtej było na placówce
Alusia - „Bubr" - Zosia, Kiełbrowska
Oberlangen. 5.IV.45r.

SYLWIA DZIEWANNA
HANKA CZESIA
AKACJA JOANNA
„JOANNA DOLINA
KRZEW HALA
„JADWIGA LANGOWA
„Kolec ALA"
„DANKA BOROWICZ
„TRAWA"
„KRYSTYNA KRACZKIEWICZ

Życzę z wdzięcznością wszystkich wojskowych i cywilnych „Supełków" i prośbę by nam Bóg dał Hanka Pruszkowska
2 Kwietnia Kaktusów
Dziękuję wspomnienie z niewoli niemieckiej 12-II-45r

„KAKTUS"
I-HANKA PRUSZKOWSKA

Generalnemu ogniwowi „doktorowi kolcowi" wdzięczny do grobowej deski
Kpt. „Gałązka" = Halina Rutkowska
21 p.p. batalion „Bat"
Langen, niewola 6.IV.45 r.

1/32

T. 4111/WSK

Jadwiga Kwaśnik – Badmajew , z d. Kosuń, ps. „Jagoda" , „Jagódka"

Urodzona w Warszawie ok. 1925 r. W roku 1939 miała 14 lat. 26. grudnia 1943 roku wstępuje do Armii Krajowej, przyjmuje pseudonim „Jagoda" i „Jagódka", bo tak pieszczotliwie nazywała ją w domu matka.
Z domu na akcje wyszła na początku sierpnia 1944 r. bez pożegnania, musiała dotrzymać tajemnicy po zaprzysiężeniu, a wiedziała, że rodzice nie pozwolili by jej wyjść.
1.listopada 1944 r. dostaje się po długiej podróży w zamkniętych, ciasnych, bydlęcych wagonach do międzynarodowego obozu w Muhlberg, następnie Altenburg i Oberlanger – Ems. Z pobytu w tych obozach i wcześniejszej do nich podróży pisze pamiętnik, zatytułowany: Wspomnienia z niewoli. Po Powstaniu Warszawskim.
12.kwietnia 1945 r. I Dywizja generała Maczka wyzwala obóz. Jadwiga wstepuje do 2 Korpusu generała Andersa we Włoszech. Tam poznaje swojego pierwszego męża - Kwaśnika. Ślub ma miejsce we Włoszech, gdzie mieszkają i mają dwoje dzieci. W roku 1955 udają się do USA, gdzie na świat przyszło ich trzecie dziecko. Po owdowieniu Jadwiga wychodzi za doktora Piotra Badmajewa.
W swoim pamiętniku Jadwiga wspomina swoją cioteczna siostrę Irenę Dalewską, strony 2 i 14,) ale nie wspomina o jej pracy w AK. Otrzymała od niej list do obozu ale bez wiadomosci o życiu rodziców w Warszawie.

Na podstawie „Wspomnień z niewoli po Powstaniu Warszawskim", Jamesport, New York, 1993, opracowała

Barbara Rojek 2011-02-16.

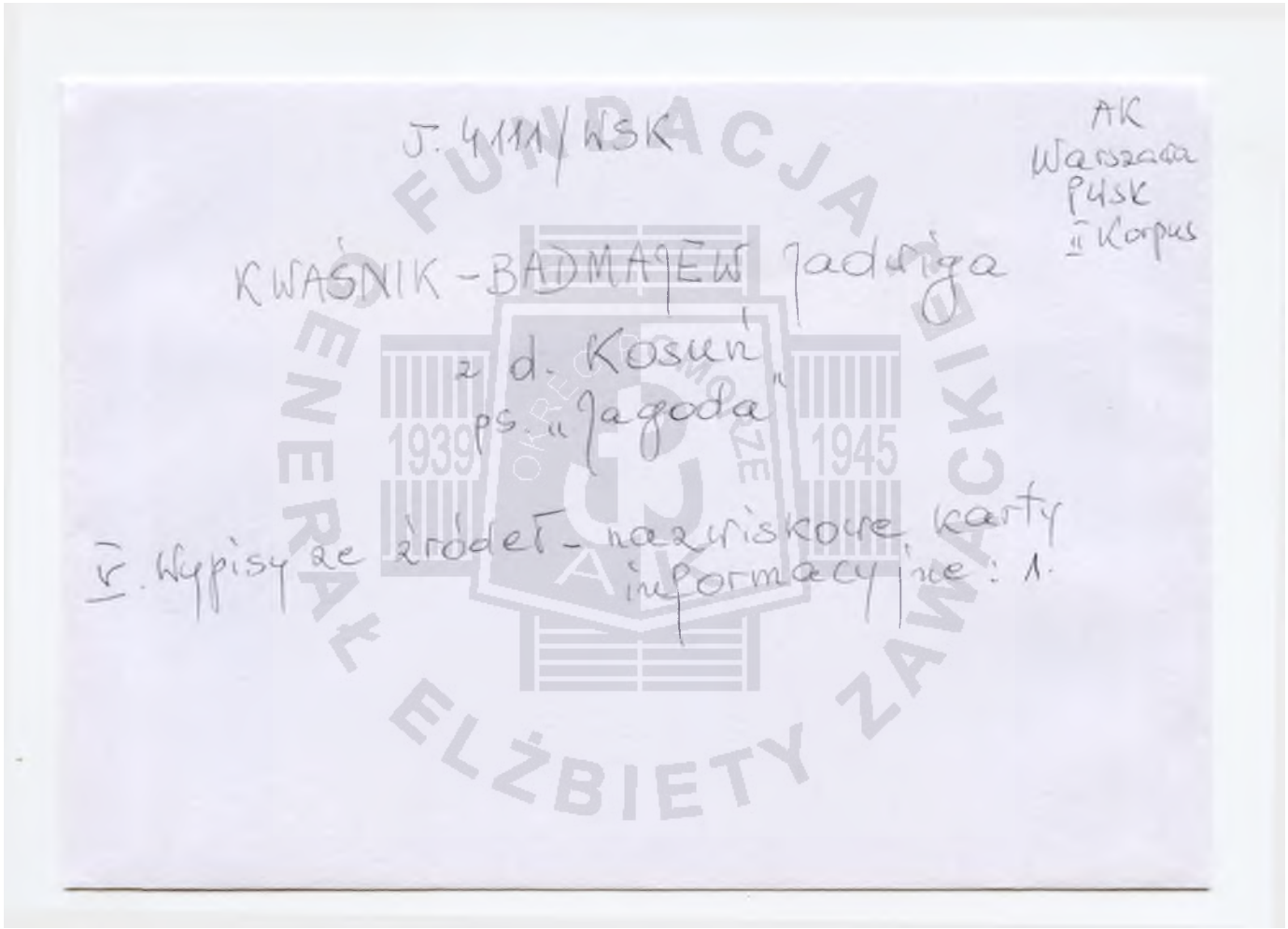

J. 4111/WSK

AK
Warszawa
PWSK
II Korpus

KWAŚNIK-BADMAJEW Jadwiga
z d. Kosun
ps. "Jagoda"

V. Wypisy ze źródeł - nazwiskowe karty informacyjne: 1.

FUNDACJA GENERAŁ ELŻBIETY ZAWACKIEJ
OKRĘG POMORZE
1939 1945
AK

J. 4114/WSK

AK
Warszawa
Płsk
„Korpus"

KWAŚNIK-BADMAJEW Jadwiga
z d. Rosen
ps. „Jagoda"

zn. „Wspomnienia z wesołej -
po Powstaniu Warszawskim"
Jadwiga Kwaśnik Badmajew
Tomesport, New York, 1993

B. Rojek 1993.

FUNDACJA GENERAŁ ELŻBIETY ZAWACKIEJ
OKRĘG POMORZE
1939 1945

FUNDACJA GENERAŁ ELŻBIETY ZAWACKIEJ
OKRĘG POMORZE
1939 1945
AK

KWAŚNIK- BADANIA Jadwiga